

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR.5

WARSZAWA, 30 WRZEŚNIA 1935 ROKU



W DALEKICH KRAJACH



Oczom naszym — siwa dal przestrzeni:
nieobjęte, niezmierzone morze,
puszcze, prerje i łąki zieleni,
bezymiar ziemi i bezymiar przestworzy!

Nogom — bystre okręty i łodzie
na garbatach, rozszalałych falach!
Piersiom — burza, orkan, co nadchodzi,
piorun, co się w błękitach zapala!

Dłoniom — skarby krain tajemniczych,
gdzieś w ukryciu drzemiące i mroku,
nieprzebrane ilości zdobyczy!
Sercu — wieczny i twórczy niepokój!

Nam spokojnie nie usiedzieć w domach,
lecz po świecie tułać się dalekim
i podziwiać czar morskich ogromów,
aż znużone opadną powieki!

Nas prowadzi w świat

gwiazda szczęśliwa
poprzez wszystkie manowce, bezdroża.
My musimy odkrywać, odkrywać
wszystkie ziemie i łądy i morza!

W nas się pali ten ogień płomienny,
którym zionie rozpętany krater.
Nie wystarczą nam trudy codzienne,
my żyć chcemy, jak żyje bohater!

Ile lądów na świecie szerokim,
ile różnych na niebie błękitów,
wszystko objąć pragniemy
swym wzrokiem
i przygarnąć do piersi odkrytej!

Oto pieśń się układa, jak fale,
i tak szumi, jak wieczorna bryza,
Coraz dalej, coraz dalej, dalej...
Oto nowa już ziemia się zbliża!...

Antoni Madej

KRZYSZTOF KOLUMB

Jedna jeszcze zostawała droga, i tą drogą poszedł Krzysztof — hiszpański dwór.

Zaczął się wszystko na nowo.

Wystawanie po królewskich przed-
sionkach, pogardliwe spojrzenia dum-
nych panów kastylskich, intrygi zawist-
nych dworzan, tłum niechętnych, za-
zdrosnych o królewskie łaski i względy.

Po sto razy chciał Krzysztof rzucić
wszystko i iść precz stąd, z tego siedli-
ska nadętej głupoty, bezwstyдной pychy.
Ale wciąż jeszcze trwał księżycowy czar,
Indje pachniały sandałowem drzewem,
kołysał się pod rozgwieżdżonem niebem
daleki ocean.

I Krzysztof zostawał, z sercem peł-
nem gniewu i buntu, z goryczą i nie-
pokojem.

Nauczył się nisko zginać w pokłonie
grzbiet, nauczył się słodkich, uprze-
mych słów, mówionych gładko wtedy,
gdy dusza drży z gniewu. Nauczył się
obrać na tym najdumniejszym dworze
świata.

Mówiono mu: nie! Ale Krzysztof
nie ustępował łatwo. Rزتaczał przed
oczyma królowej barwne obrazy przy-
szłej świetności kraju, niezmiernych
bogactw, jakie da odkrycie najbliższej
drogi do Indyj. Nęcił ją opowieściami
o sławie, jaka jej przypadnie w udziale.
Znużonemi ustami powtarzał po sto ra-
zy jedno i to samo. Czekał sposobnego
momentu.

I doczekał się wreszcie. Królowa po-
wiedziała: tak!

Nie wyposażono Krzysztofa zbyt

świetnie. Trzy stare karawele miały go wieźć ku sławie. Ale nie zrażało go to. Na wszystko był gotów, byle tylko ziścić swój sen.

Popłynął. Płynęli długo. Buntowała się załoga.

— Niema tam nic! Jeny wody i wody! Nie płyniemy dalej! — krzyтели półprzytomni z trwogi marynarze.

— Pomrzemy z głodu i pragnienia na tych wodnych pustkach! — odzywały się głosy.

Krzysztof przez trzydzieści dni patrzył na roztaczającą się wokół lichych statków przestrzeń wód. On jeden wierzył, on jeden wiedział, że dobrze płyną, że muszą dopłynąć.

Nieulekłem okiem patrzył w rozognione twarze.

— Zawracać! Admirale — zawracać!

Poznał teraz Krzysztof gorzki smak admirałskiego tytułu, który z taką pochopną radością przyjmował niedawno z rąk królowej.

Zobaczył wyciągnięte w górę pięści, zajadłą nienawiść w twarzach. Ogarniał go gniew.

Ale trwał przecież czar księżycowej piosenki. Zapach sandałowych drzew był coraz bliższy. Za wszelką cenę trzeba było płynąć dalej, nie pozwolić zawracać teraz, kiedy się było blisko celu.

Trzeba się ugiąć. Trzeba tłumaczyć, prosić, obiecywać.

Bo nie pomoże nic admirałski rozkaz. Trzeba błagać własnych marynarzy, by nie zaprzepaścili, nie podeptali zbuntowanymi nogami złotego snu o sławie.

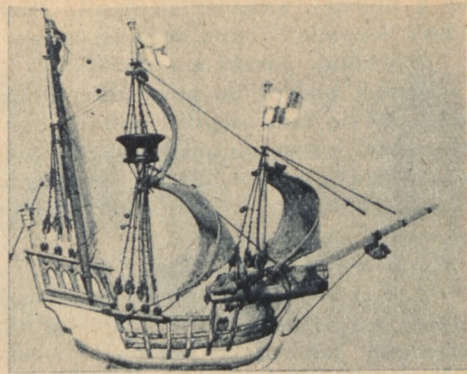
Ale oto jest wkońcu ląd.

Obwieszcza go głośnym okrzykiem majtek z bocianiego gniazda.

Z chorągwią rozwianą w rękę, z dziękczynną pieśnią na ustach wysiada Krzysztof na ląd. Szumi mu chorągiew nad głową skrzydłami sławy. Pieśń sławy wykrzykują marynarze.

Ale sława ma gorzki smak.

Od ukąszeń wielkich much i gadów umierają ludzie. Otwierają się rany na nogach, brnących przez moczary. Gorączka chwyta od noclegów w wilgot-



MODEL OKRĘTU KOLUMBA

nym gąszczu, od marszów po spieczonych słońcem skałach. Jak klejnoty zieleni i barw leżą wyspy na oceanie, ale w ich wnętrzu kryje się śmierć.

Nawet morze niełaskawe jest dla Krzysztofa. Rzuca jego statkami o brzeg, łamie maszty, zrywa żagle. Znow zaczynają ludzie szemrać, znow idzie po obozie niechętny szept.

Nic, że gościnni tubylcy znoszą złoto i klejnoty. Że wśród jest jądła i napoju. Choroby trapią załogę, na drodze każdego dnia wyrastają samotne mogiły, oplatane szybko bujnie rosnącą zielenią. Topnieje w oczach mała garstka. I któż jest winien? Admirale! Ze słonecznej ziemi ojczystej, z winnic i pól wyrwał ich tutaj, na niepewny los, dla bogactw, z których żaden z nich nic miał nie będzie, nie zabierze ze sobą pod mogilny kopczyk.

Gorzki ma sława smak. Ale przecież iści się wszystko, co sobie Krzysztof wymarzył.

W porcie Palos biją wszystkie dzwony. Grzmią wiatowe strzały z dział. Tłumy wyległy z miasta nad morski brzeg.

Zmizerowana, obdarta, schorowana załoga wysiada na brzeg. Ponad biciem dzwonów, ponad hukiem dział tysięczny okrzyk tłumów:

— Krzysztof! Krzysztof!

Przy królewskim tronie miejsce dla admirała. U stóp królewskiego tronu składa wszystko to, co przywieziono z oceanu. Złoto i korzenie, klejnoty i owo-



ce z bogatej, zamorskiej ziemi. Niech biorą wszystko. Jemu zostanie sława.

Ale sława gorzki ma smak.

Druga podróż do nowoodkrytej ziemi. Już się tam osiedlili zostawieni towarzysze, już się z nimi porozumieli nowi. Już wrą intrygi, plotki, już się zmawiają, co i jak. Idą listy do króla ze skargami na admirała.

Narazie nie słucha król.

A Krzysztof tymczasem walczy z upałem i spiekotą, z ciszą morską, ukąszeniami jadowitych wężów, chorobą, zdradą własnych ludzi. Wyszła mu twarz, głębokie brózdki okoliły mu usta.

Tak wyglądała sława, szumiąca złotemi skrzydłami.

Z trzeciej podróży wracał Krzysztof w kajdanach, pod najcięższymi oskarżeniami. Pod pokładem okrętowym, w smrodzie i zaduchu, o głodzie i prag-

nieniu wieszono admirała na królewski dwór.

Tu go zwolniono z łańcuchów. Ale nie wysłano spowrotem do odkrytej przez niego ziemi.

Przez cztery lata musiał siedzieć Krzysztof na królewskim dworze. Wśród dworskich intryg, dumnych spojrzeń kastylickich panów, wśród zabijającej bezczynności.

A po czterech latach pozwolono mu wreszcie wyruszyć w podróż, która miała się stać ostateczną kłęską. Wicher, burza, spiekota, ludzie, wszystko sprzyściło się przeciw niemu.

I wracał do Hiszpanji złamanym, nieszczęśliwym, starym człowiekiem. Zaprrawdę, sława miała gorzki smak.

I umierał samotny, zapomniany, oczerniony przez wszystkich.

Wanda Wasilewska

O JANIE Z KOLNA

Byłóż kolebką jego miasteczko Kolno, w ziemi Łomżyńskiej, ścianą gęstych borów osłonięte, albo-li tej samej nazwy starożytne osiedle nad Wisłą, niedaleko Chełmna (skąd z Bałtykiem łączność większa) — niewiadomo.

Czy szumiały mu, w zaraniu lat, nad rozpaloną od zuchwałych marzeń głową, prastare dęby słowiańskie, czy sącył się w uszy żarliwy, nieustanny poszept wiślanej fali?

A może — zgoła nie w Polsce, lecz w odległej, mroźnej Skandynawji, nad głuchym fiordem, o stromo wzniesionych brzegach, rodził się ów sternik tajemniczy, o którym opowiadali tamtejsi rybacy, jako żeglując wytrwale ku zachodowi, pod straszliwą chłostą wichrów i nawałnic dotarł wkońcu do jakiegoś nieznanego lądu.

Wiódł-że go na zdobycie tej ziemi, duch chciwego łupów i sławy wikinga, czy opętany rozmach słowiańskich korsarzy — niewiadomo.

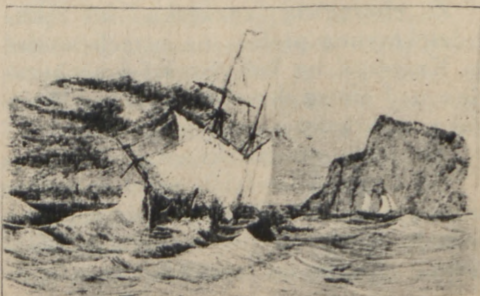
Z zetlących kart, ze strof, rzuconych nawiasem przez dziejopisa, wyłania się ku nam ogromny, wsparty na rudle cień dalekiego żeglarza. Kołysze się na szarych, wiecznie skłóconych wodach Pół-

nocy jego zwycięsko utrudzony korab, szyjąc bure, skłębione obłoki iglicami masztów, zrąbanych w puszczy kurpiowskiej.

Potężne dłonie ściskają koło sterowe. Postać żeglarza mocarna, ramiona jak konary. Zda się, z tego samego pnia dębu twardego ściosane, co i kościec chyżego okrętu.

Jeżeli był tylko mitem, jakże piękna jest jego legenda!

Jan z Kolna w służbie duńskiego monarchy szczególnym cieszył się mi-rem. W przededniu odkryć Kolumba, w dobie gorliwych starań o znalezienie drogi wodnej do „korzennych” Indyj, gdy z jednej strony nieprzeparta chęć zysku, a z drugiej żądza przygód i roz-



głosu zbliżała do siebie ludzi, nie pozostawał bynajmniej król Chrystjan I głuchy na namowy męża tej miary a doświadczenia morskiego. I nie żałował trzosa na budowę mocnej galeony o smukłym kadłubie, gładko obitym sosnowymi deskami, bogatym ozaglowaniu i ze wspianym łbem smoczym u dzioba, jako ozdobą.

Toteż ochotnie ruszał Jan na wyprawę, w kompanji kaprów królewskich, Pininga i Pothorsta, Niemców z pochodzenia i z załogą, rzec można, z djabłów wcielonych złożoną, łotrów urwanych ze stryka, lecz służbę morską na wylot znających.

Później zaś, na szerokim, groźnym oceanie, kiedy miotany burzami w matni gór lodowych, statek kluczył rozpacznie, drżąc i skrzypiąc od uderzeń potwornych fal, kiedy trud nadmierny, ziąb i zgroza najsmielszym sercom odbierały resztę wiary w cel i pożytek tej udręki, każąc ustom zlorzerzyć i pięściom zaciskać się w złowrogim buncie, kamienne oblicze żeglarza z jednakim uporem zwracało się w stronę, kędy, wedle jego rachuby, musiała znajdować się ziemia.

Ukazały się wreszcie zdumionym, niewierzącym oczom Janowej drużyny spowite w mgły i śniegi, pustynne wybrzeża. Po raz pierwszy tedy spoczęli w bezpiecznej przystani, pod wyiskrzonym przedziwnie niebem Grenlandji.

Wszelako nie był to jeszcze kres ich utrapień. W ciągu długiej, zimowej nocy żarłoczne lisy odgrzebywały liczne trupy tych ludzi, pomarłych z zimna i braku świeżej strawy. Dzicy wyspiarze, żywiący się surowym mięsem fok i wołów piżmowych, nie pojmowali, dlaczego pogardzają niem obcy przybysze.



Okutani w skóry reniferów Eskimowie z ciekawością, choć nieufnie, krążyli dokoła okrętu, podobnie zresztą jak to czyniły białe niedźwiedzie, zwabione widokiem wielkiego, nieznanego ptaka, który pojawił się u brzegów zatoki.

Jan z Kolna, z troską w sercu błędząc wśród lodozwałów, spoglądał na tryskający słupami światła, barwny łuk zorzy polarnej i wążąc w dłoni kawał górskiego kryształu, myślał z goryczą — że ląd, który kosztem takich ofiar odzyskali, nie jest złotodajną krainą, ani tembardziej ową, wymarzoną przez opasłych kupców, ojczyznę pieprzu i cynamonu, na handlu któremi wzbogaciło się tyle miast Italji. Czuł, że dzieło jego, nieoparte wymową złota, przeminie bez chwały, wyrzucone z pamięci współczesnych, jako nieużyteczny wysiłek.

W tem miejscu urywa się złota nić legendy. Jakie były dalsze losy Jana z Kolna, czy powrócił do swojej ojczyzny, gdzie złożył kości skołatane na burzliwych szlakach mórz północnych — niewiadomo.

Zjawa sternika i jego korabia ginie nam z oczu, pograżając się w nurtach przeszłości.

Zofja Gostomska

BOHATEROWIE PÓLNOCY

— Tatusiu, opowiedz mi o tem, jak płynąłeś na „Czeluskinie”.

— Przecież ci już opowiadałem!

— Właśnie opowiedz, jak to było. Od początku.

I ojciec, jak zwykle, ustępuje prośbom synka.

— Więc słuchaj: W połowie lipca 1933 roku wyruszyliśmy z Leningradu okrętem „Czeluskin”, pod dowództwem kapitana Woronina, aby zdobyć dla żeglugi Północną Drogę Morską. Pogoda była piękna i podróż zapowiadała się pomyślnie. Dziewiątego sierpnia wypły-



PROFESOR SCHMIDT Z TOWARZYSZAMI

nęliśmy na morze Barentza, położone pomiędzy północną częścią półwyspu Skandynawskiego, a wyspami Nowej Ziemi. Ale w kilka dni później...

— Tatusiu, zapomniałeś o Amundsenie!

— Nie, synku, lecz historia Amundsena nie ma nic wspólnego z wyprawą na „Czeluskinie”.

— Ja wiem, ale ty mi za pierwszym razem mówiłeś i o Amundsenie.

— Więc dobrze, tylko mi już nie przerywaj. Widzisz, Amundsen, był to wielki podróżnik norweski, który zginął w 1928 roku, gdy wyruszył samolotem na poszukiwanie rozbitków balonowej wyprawy Nobilego do bieguna. On również próbował niegdyś zdobyć Północną Drogę Morską. Wypłynął na statku polarnym „Maud” — statek zamierzał w lodach, które ruszyły na wiośnię i same przewiozły go przez Ocean Lodowaty do Ameryki. Ale myśmy nie chcieli tracić dwóch lat, jak Amundsen. Naszym celem było znalezienie takiej drogi, która by pozwalała statkom przepływać bez zamarzania.

— Teraz już możesz mówić dalej, — powiedział chłopczyk.

— W połowie sierpnia zaczęły na-

pierać lody, — ciągnął dalej ojciec, — siła ich była tak wielka, że uszkodziły poważnie okręt. Całe szczęście, że w pobliżu płynął łamacz lodów „Krasin”, który zabrał od nas 700 tonn węgla. Dopiero wtedy na zwolnionym od ciężaru „Czeluskinie” mogliśmy naprawić szkody. Z trudem płynęliśmy aż do połowy września. Wokoło nas wyrastały coraz groźniejsze góry lodowe. Trzeba było rozsadzać je dynamitem. Z każdym dniem było gorzej. W listopadzie okręt zupełnie zamarł w lodach i łamacz lodów „Liedtke” nie zdołał już do niego dotrzeć, by go uwolnić. Lody zwarły się wkoło „Czeluskina”, unosząc go coraz dalej ku północy.

— Już wiem, później nastąpiła katastrofa! — wtrącił chłopiec.

— Tak, synku. Był to pamiętny dzień 13 lutego 1934 roku. Znajdowaliśmy się wtedy o 155 mil od Przylądka Północnego i o 144 mile od przylądka Wellen, kiedy „Czeluskin”, zmiażdżony naporem lodów, zaczął tonąć. Wszyscy zdołaliśmy wydostać się na wielką tafle lodową...

— Zupełnie jak Robinson na bezludną wyspę!

— Niezupełnie jak Robinson, gdyż



KATASTROFA CZELUSKINA

wyratowaliśmy zapasy żywności, aparat radjowy i niezbędne przyrządy. Profesor Schmidt objął nad nami dowództwo, dawał nam otuchy i natychmiast przez radjo zawiadomił świat o niebezpieczeństwie, jakie nam grozi, ponieważ lody każdej chwili mogły popękać i zatopić nas wszystkich.

— Byliście bohaterami!

— Byliśmy poprostu ludźmi, którzy wierzili w braterską pomoc narodów całego świata. Wiedzieliśmy, że uczynią wszystko, aby nas wyratować. I nie zawiedliśmy się. Gdy tylko rozeszła się wieść o rozbiciu „Czeluskina”, wyruszyły nam na pomoc okręty z „Krasinem” na czele. Ale okręt płynie wolno. To też z przyłądka Warkaren, Wellen, z Alaski, z Chabarowska, razporaz wylatywały, pomimo wichru i śnieżycy samoloty, aby odnaleźć i uratować rozbitek. Pierwszy przyleciał nad nasze obozowisko lotnik Lapidewskij. Poważnie chory, pomimo czterdziestostopniowego mrozu, wyruszył nam na ratunek

i zdołał zabrać ze sobą dwunastu uczestników wyprawy. Za Lapidewskim przybywali inni: Wodopianow, Mołokow, Bobrow, Lewoniewski, Babuszkin, Doronin. Jeden z lotników pomimo oporu wywiózł z obozu chorego na zapalenie płuc profesora Schmidta, który nie chciał opuścić naszej płynącej wyspy, dopóki ostatni rozbitek nie znajdzie się bezpieczny w aeroplanie. Mijał czas w naprężonym oczekiwaniu. Co kilka dni nowa partja naszych towarzyszy niedoli wracała do kraju. Cały świat z uwagą, niepokojem, a potem z radością oczekiwał wieści o naszych losach. Na całym świecie ludzie w tym czasie myśleli i mówili tylko o nas. W ostatniej partji rozbiteków i ja również wróciłem drogą powietrzną do domu...

Chłopczyk, wzruszony, jakgdyby po raz pierwszy słuchał opowieści ojca, objął go za szyję:

— I ja dzięki bohaterskim lotnikom odzyskałem mego dzielnego tatusia!

Wanda Grodzieńska

ZŁÓŻ GROSZ NA BUDOWĘ PUBLICZNYCH SZKÓŁ POWSZECHNYCH

NIEUDANA WYPRAWA

Któż to się dobija tak wcześnie? Kto puka tak natarczywie w szybę tuż nad głową Józka?

Józek przeciągnął się, przetarł pięścią oczy, usiadł na łóżku i wyjrzał oknem. No, oczywiście, któżby, jak nie Franek. Ale nie chce się Józkowi wstawać. Otworzył więc tylko lufcik, wysunął głowę i zamruczał:

— Czego mnie budzisz, zwarzowałeś? Przecie dziś niedziela.

Franek jednak się nie obraził, ani odszedł od okna, wspiął się tylko na palce i zawołał cichutko:

— Wyjdź-no Józek, chcę ci coś powiedzieć.

— Dobrze, poczekaj chwilę — westchnął Józek z rezygnacją.

Franek czekał na podwórku, ale dopiero gdy wyszli na ulicę wyciągnął z kieszeni małą książeczkę i zapytał:

— Wiesz co to jest?

— Książka. Masz o co pytać!

— Książka, no chyba, książka, ale jaka książka! To książka o człowieku, który pierwszy opłynął naokoło ziemię. O Magellanie.

— I przez tę książkę przyleciałeś tak rano?

— A tak, ale nie złość się, tylko słuchaj.

Chłopcy zeszli nadół nad brzeg Wisły i usiedli na ławce obok przystani.

— Widzisz, ten Magellan to był Hiszpan, ale jego rodacy nie chcieli mu dać okrętu. I on pojechał do Portugalji i tam mu królowa dała okręt.

— No i co z tego, przecież my z nim nie pojedziemy.

— Głupis, chyba że nie, bo to było już przeszło 400 lat temu, w 1513 roku. Ale warto wiedzieć. Słuchaj, to się dowiesz wszystkiego.

— No dobrze już, dobrze, mów — zgodził się Józek.

— Więc ten Magellan, Ferdynand Magellan wcale nie chciał jechać naokoło ziemi, tylko chciał znaleźć nową drogę do Indyj. No i objechał całą kulę ziemską. I odkrył po drodze Ziemię Ognistą i różne inne wyspy. A nawet na jego cześć cieśninę między Ameryką Południową i Ziemią Ognistą nazwano potem cieśniną Magellana. A teraz dobrze nastaw uszu. Kolumb odkrył Amerykę, Magellan Ziemię Ognistą. Wiesz dlaczego? Bo byli odważni i wytrwali. No, a czy my nie jesteśmy odważni?





— Pewnie, że tak. Ja się żadnych strachów nie boję, ani złego psa — pochwalił się Józek.

— Ani ja. A wytrwały też jestem. Jak byłem na wycieczce z harcerzami, to szedłem i szedłem i nic nie narzekałem — ani na gorąco, ani na to, że mnie nogi bołą. Sam drużyna powiedział wtedy: „jaki to wytrwały chłopiec”.

— Ale dlaczego ty o tem mówisz?

— Mówię, bo jeśli jesteśmy odważni i wytrwali, to możemy być odkrywcami tak jak oni.

Józek skoczył z ławki na równe nogi.

— My odkrywcami?! Ale co my będziemy odkrywać? Ameryka, Australja, to wszystko odkryte. Chyba nie wybierzesz się na biegun północny?

— Na biegun to nie, nie mam takiego ubrania, ale jestem pewien, że są jeszcze nieznanne wyspy i na oceanie Atlantyckim, które mógłbym odkryć. I mam plan. Jedź ze mną. W nocy przygotowujemy sobie łódkę, trochę żywności, kompas i dalej w drogę. Wisłą aż do Gdańska, a potem na morze!

Podobała się Józce propozycja Franka. Ten Franek to mądry chłop!

A więc do dzieła! Ustalili program działania. Franek miał zdobyć kompas i bochenek chleba, Józek obiecał latarkę

elektryczną i menażki. Łódkę wezmą z przystani, przy której pracuje ojciec Franka. Niebardzo to ładnie, ale czego się nie robi dla tak ważnego celu.

O umówionej godzinie zeszli się koło przystani. Pierwszy był na miejscu Franek. Józek czegoś marudził i zjawił się dopiero o wpół do jedenastej zamiast o dziesiątej. Podszedł do Franka i zaczął nieśmiało:

— Wiesz, a możebyśmy tę naszą podróż odłożyli na parę dni?

Ale Franek się rozgniewał:

— Jak się boisz, to zostawaj. Mazgajów nie potrzebuje! Załoga Magellana prawie dwa lata była na morzu. Nie zrażali się głodem, nie straszyla ich cisza morska, gdy okręty ich stały w miejscu przez 70 dni. A ty?

Józek się zawstydział. Jaki? tak opuścić towarzysza!

— No, już dobrze, jedziemy!

Ale skoro weszli cicho do uwiązanej na przystani łódki i wladowali w nią swoje manatki, Frankowi też zrobiło się markotno. Usiedli w łódce, ale Franek, który pierwszy miał wiosłować, nie ruszał z miejsca. Oparł się na łokciach i patrzył długo na światła latarni, migające woddali. Żal mu się zrobiło Warszawy. I mostu Kierbedzia, po którym akurat pędził tramwaj nocny i tej przy-

stani, przy której się wychował i szkoły i kolegów i rodziców.

— Wyjeżdżamy nad ranem — rzekł do Józka tonem kapitana okrętu — teraz ciemno i moglibyśmy wpaść na mieliznę. Połóż się spać, ja będę czuwał!

Józek skulił się na dnie łódki i zasnął. Lecz i Franka coraz bardziej sen morzy.

Co to? Czy mu się śni, czy to prawda? Ktoś rzeczywiście ciągnie go za rękaw. Przeciera Franek oczy, patrzy, nad nim stoi jego własny ojciec. Skąd tu — na morzu — ojciec, przecie wyruszyli tylko we dwóch z Józkiem?

Ale ojciec podnosi Franka i stawia go na pomoście przystani.

— Co wy wyprawiacie, smyki! Całą

noc was szukamy. Matka o mało nie rozchorowała się ze zmartwienia!

Wstyd się zrobiło Frankowi, żal biednej matki i zatroskanego ojca.

— Ja chciałem odkrywać nowe wyspy — wybąkał nieśmiało — tak jak Magellan.

— A, to ci wyspy w głowę wlaży! Ale wiedz, że Magellan, tak jak wszyscy podróżnicy, długo się uczył, zanim wyruszył na taką wyprawę. A ty co? Jakbyś sobie dał radę na morzu? Czy wiedziałbyś chociaż, w którą stronę jechać? Czy potrafiłbyś kierować łódką na morzu?

Prawda. Franek o tem nie pomyślał. Jemu się zdawało, że wystarczy być tylko odważnym i wytrwałym.

Z. Charszewska

ROZMOWA ŻEGLARZY

Wybrzeże bezludnej wyspy. Dal oceanu. Siedem fali ruchem tanecznym przyplęwa do brzegu. Na wybrzeżu pogrążony w zamyśleniu, samotny żeglarz Allan.

FALE:

Ocean. — Ocean. — Ocean. — Ocean. — Ocean. Bez tchu więdziemy tan — wieczny tan, wieczny tan, wieczny tan — zdyszane i pokryte białą pian — białą pian — białą pian. Kiedy się skończy bieg — daleki bieg — daleki bieg. Dajcie nam spocząć! — oto brzeg — oto brzeg — oto brzeg.

(próbują spocząć, ale odpychane przez brzeg, cofają się w nieustannym ruchu)

ALLAN:

Jesteście moje tancerki! Jestem w największym teatrze! Nie chcę miast! Nie chcę ludzi! niechaj was słucham i patrzę! A kiedy wam pozazdrosczę — w szczęśliwą jakąś godzinę — wtedy znów razem z wami — tancerki moje — popłynę!

FALE *(odpychane przez brzeg)*:

My nie chcemy płynąć już — kiedyż kres — kiedyż kres? Ulitujże się wybrzeże naszych łez, słonych łez. Jakich nienasycone jeszcze skarbów żądasz w ofierze? Rozbijemy jeszcze sto statków — i złożymy ci okup, wybrzeże!! Wściekłe jesteście! Wściekłe jesteście! Nie słucha

nas! nie słucha przez wieki. Przez zemstę pobawimy się, poigramy z łupem człowieczym — z człowiekiem!!

(między falami ukazuje się Sindbad, którym fale bawią się okrutnie, przerzucając go od jednej jak piłkę)

SINDBAD:

Dosyć już tej zabawy! No mówię wam, że dosyć!! No, dajcie mi już spokój! Aj! Jakże mam was prosić??

(Fale wyrzucają na brzeg grubego Sindbada.)

FALE:

Masz żarłoczne wybrzeże dużo mięsa! — ze dwieście kilo — ze dwieście kilo! Może nam pozwolisz odpocząć chociaż chwilę — jedną chwilę.

SINDBAD:

Allah jest wielki! Żegluga jest rzeczą strasznie trudną! Po raz tysiąc i pierwszy wyrzuciły mnie na wyspę bezludną! *(sposprzega Allana)* Kto to? Salem Alejkum!! Czy to kolega rozbitek?

ALLAN:

Nie. Tu jest moje mieszkanie. Tu mi dobrze i tutaj zostanie.

SINDBAD:

Żeglarz?

ALLAN:

Tak jest. Łódź moja nazywa się Fi-recrest. Łódź moja ma długości jedena-



ście metrów, szerokości tylko dwa metry pięćdziesiąt. Jest najwęższą z łodzi, które przebyły ocean. Jest najmędrszą z łodzi, które przebyły ocean. Firecrest. Nie raz, gdy w czasie burzy zasnąłem pod pokładem statek sam trzymał się kursu — i sam sobie dawał radę!

FALE:

Hańba nam! Hańba nam! Tak jest! tak jest!

SINDBAD:

Chcesz mi zaimponować tym swoim Firecrestem? Hola! Na brodę proroka! widać nie wiesz, kim jestem!!

FALE:

Sindbad żeglarz! Sindbad żeglarz z tysiąca i jednej nocy!

SINDBAD (z wielką dumą):

Ja w czasie burzy nie śpiam, tylko wrzeszczę i wzywam pomocy!! Ja — Sindbad — sławny i dzielny. Ja jestem Sindbad z bajki. Z bajki, więc nieśmiertelny. Od wieków mnie wciąż morze wyrzuca na wybrzeże — a ja żyję! i żyć będę! I niech nikt się ze mną nie mierzy!

FALE:

Sindbad żeglarz! Sindbad żeglarz! Rozbitek w każdej burzy! Nie uląkł się — nie uląkł się — tysiąc i pierwszej podróży!

ALLAN:

Burza? — Znam! Kiedyś przez dzie-

się godzin zszywałem poszarpany żagiel. A kiedy umocowałem go, szamocąc się z burzą — wicher porwał mi go w strzępy — i uniósł! I musiałem się śmiać z dziesięciogodzinnej roboty!

SINDBAD (z pobłażliwą wyższością):

Może być. Szyć to nie sztuka. Szyć, to i ja potrafię. Ale powinszować. Wcale nieźle, jak na pierwszy krok. Ja co-prawda szycie oddaję memu krawcowi Mustafie... A wiesz, co to potwór Degjal? A wiesz, co to jest ptak Rok?

FALE:

Ptak Rok — ptak Rok — ptak Rok — wielki jak największa wieża! Cóż to za łup — cóż to za łup byłby dla chciwego wybrzeża!

ALLAN (śmiejąc się):

Nic podobnego. Za moją łodzią pływały tylko delfiny. Niezmordowane, niezawodne dzień i noc płynęły delfiny. I śmiałem się łowiąc delfiny, które były eskortą mej łódce, że chcą zemsty i mają apetyt, — i że może zjedzą mnie wkrótce!

SINDBAD (pogardliwie):

Zwycięzcy ptaka Roka zemsta ryb nie przeraża... Ale dowiedz się młody człowieku, — to ci się może przyda — że bawiłem w gościnie u samego króla Miraża, i byłem posłem samego kalifa Al Raszyda!



ALLAN:

Ja nie gościłem u nikogo i nie byłem niczym posłem. Poco mi to? Ja nie potrzebuję nikogo! Tylko z Europy do Ameryki wieść o odwadze zaniósłem — najprostszą drogą!

FALE:

Azory — Bermudy — Azory — Bermudy — Azory — Bermudy...

ALLAN:

Wabiły mnie Bermudy, wabiły mnie Azory... Ominąłem je zdala, choć byłem spragniony i chory. Tak mi się podobało i taki był mój gest. 4500 mil angielskich z Gibraltaru do New Yorku przebyłem bez lądowania — samotny na mej łodzi — Firecrest.

FALE:

Sto i jeden dni i nocy tylko my — tylko my — bez ratunku — bez pomocy — tylko my — tylko my —

ALLAN:

Nagi i wiatrem pijany płynąłem przez huragany — i śpiewałem głośniejsz niż one — i śmiałem się z nich do łez! Ja, Allan, żeglarz-romantyk zwyciężyłem wściekły Atlantyk!!

FALE (*przerażone bluźnierstwem*):

S. O. S.! S. O. S.! S. O. S.!

SINDBAD:

Ale jest coś, młody człowieku — co nam pomaga! Przyznaj się, jakie masz czary? Sindbad nie zdradzi ciebie!

ALLAN:

Moje czary nazywają się bardzo prosto — odwaga, i to, że do szaleństwa kocham się w morzu — i w niebie.

SINDBAD:

Wiesz co? Ja jestem z bajki — ty jesteś z dnia dzisiejszego, ale jesteś odważny jak ja! i przyjaźnią cię moją zaszczycę! Niech tam! Jednego żeglarza na świecie mogę nazwać kolegą! Sindbad-żeglarz przesławny podaje tobie prawicę!

(*Allan śmieje się i podaje mu dłoń.*)

FALE:

Człowiek z człowiekiem zawarł przymierze — przymierze — żebyś ty tak chciało z nami — wybrzeże — wybrzeże.

SINDBAD:

A teraz, patrz o Giaurze, z odwagi mojej się raduj! Rzucam się w fale i płynę jak ty — do mojego Bagdadu!

(*rzuca się w fale, które go unoszą*)

Nie bój się! Jestem z bajki! Ja jestem wieczny! Nie zginę! Wezmę rekord! Wpław cały ocean przepłynę!!

FALE (*cofają się i wracają do monotonnej, kołyszącej skargi*):

Kiedyż się skończy bieg — daleki bieg — daleki bieg — Dajcie nam spocząć — oto brzeg — oto brzeg.

Janina Morawska



ALLAN GERBAULT

Odważny żeglarz, który przed kilku laty na niewielkiej łodzi żaglowej przełynął samotnie Atlantyk, a później żegłował po Pacyfiku.

POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA

Nietylko w bojach krwawych
od Moskwy do San Domingo
rąbaliśmy drogę do sławy
bagnetem i szablą klingą —
nietylko drogę tę znaczą
żołnierskie proste krzyże
i usypane tułaczom
kurhany na Sybirze — — —
w bezkresnym boju zdobywczym,
jak długa, szeroka ziemia,
nie brakło pośród odkrywców
chwały polskiego imienia.
Krew nie płynęła po śladach
polskich wędrowców ofiarnych —
nie Polak jarzmo nakładał
ludom czerwonym i czarnym.

Śpiewała flotylla biała
historję Brazylii w strofach — — —
polska ją ręka sprawiała
Arciszewskiego Krzysztofa.

I on i innych szeregi
armją wybraną, dzielną
przez morza, pustynie, śniegi
przynieśli nam — nieśmiertelność.

Ed. Sz.

Od dalekich, sybirskich śniegów
przez morza, lodem ścięte,
do afrykańskich brzegów
Beniowski płynie okrętem.
Płynie z nim dola wygnańcza
przez burze, przez łyzy, przez śmiech,
na dalekich, pustynnych krańcach
odnaleść wolność — i śmierć.

Lata bez sławy, bez wieści
spływają po czasie fali...
Wędruje Paweł Strzelecki
po szczytach Australji.
Gdy tam od wschodu wysiądziesz,
ziemię po polsku przeżegnaj —
pokłoni ci się na lądzie
Góra Kościuszki śnieżna.

Wśród lodów droga otwarta
w południowych polarnych łunach —
Henryk Arctowski na nartach
toruje szlak do bieguna.

NA WYSPIE NIEDŹWIEDZIEJ

Na dalekiej północy, gdzie w zimie
panuje stała ciemność i słońko w ciągu
dnia ani na chwilkę nie pokazuje się na
niebie, gdzie morze zamarza w jednolitą
skorupę lodu, po której hulają mroźne
wiatry, stercząc wśród fal oceanu Wyspa
Niedźwiedzia.

Smutny to i niegościnnie kawałek zie-
mi. Nic na nim nie rośnie oprócz mchu

i niema ani drzew ani krzaków, tylko
czasem w lecie koło licznych jeziorok
można znaleźć parę badyłków trawy.

Mieszkaliśmy na tej wyspie przez 13
miesiący, pracując dla nauki. Było nas
tam trzech Polaków i trzech Norwegów.
Polacy, to inż. Centkiewicz, Wł. Łysa-
kowski i ja. Norwedzy byli to trzej ra-
djotelegrafisci, którzy pracować mieli

przez rok w służbie Norweskiego Instytutu Meteorologicznego.

Życie na Wyspie Niedźwiedziej jest ciężkie i trudne, nie tylko dlatego, że wszystko trzeba sobie samemu zrobić, upiec chleb i ugotować obiad lub naprawić buty, lecz także dlatego, że cała natura jakby na złość zawsze chce człowiekowi dokuczyć. Wyspę otulają czasem przez wiele tygodni nieznikające mgły, lub wieją takie silne wiatry, że wszystko pod ich naporem psuje się i łamie, a domek mieszkalny kiwa się i grozi zawaleniem. Kiedy zaczyna się na wyspie zima, dzień coraz to bardziej się skraca, a długość nocy się zwiększa. Coraz krócej i niżej słońce pokazuje swą czerwoną tarczę ponad morskim horyzontem, aż wre-



CZŁONKOWIE WYPRAWY

kwietnia, nawet o północy jasno błyszczą na niebie i od tego dnia przez trzy miesiące trwa nieustanna jasność.

Pocztę, listy i gazety dostawaliśmy na wyspie rzadko. Przywozili ją nam rybacy i łowcy fok i wielorybów, którzy w lecie łowią lub polują w okolicach Wyspy Niedźwiedziej. Już w listopadzie żaden statek nie wypływa tak daleko na północ, toteż zgóry wiedzieliśmy dobrze, że przez wiele miesięcy zimy nie dostaniemy poczty z kraju.

Przeżywaliśmy więc długie dni i tygodnie w zupełnym osamotnieniu i jedynie Polskie Radjo przypominało nam, że tam daleko, na południu, istnieje cywilizacja, że są duże miasta, a w nich wielu ludzi.

Stanisław Siedlecki



PRZY BUDOWIE DOMKU

szcie, gdzieś w połowie listopada, wystawia w południe jedynie malutki, jasny rąbek, który świeci przez kilka minut. Następnego dnia słońce nie wschodzi wogóle. Dopiero po trzech miesiącach, w lutym, na chwilkę w południe widzieć można kawałeczek tej promiennej, życiodajnej gwiazdy; od tej chwili, z dnia na dzień coraz dłużej świeci nam ono nad szarą wyspą, aż wreszcie w połowie



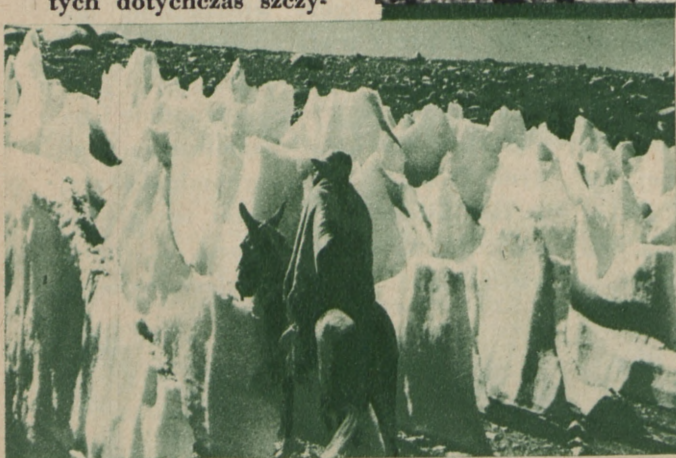
POLSKIE WYPRAWY ODKRYWCZE LAT OSTATNICH

Parę lat temu wyjechały polskie grupy podróżniczo - odkrywcze na wszystkie strony świata, na odkrycie i zbadanie niezliczonych już białych plam na mapie, oznaczających nieznaną jeszcze zakątki ziemi. W okolicy Bieguna Północnego, ekspedycja polska dotarła na Szpicbergu w głąb Ziemi Torella, zdobywając dla nauki cenny materiał topograficzny i meteorologiczny. Dzięki tym właśnie pracom topograficznym biała plama na mapie Ziemi Torella zniknęła.

W roku 1933 wyruszyła druga polska wyprawa odkrywca do Argentyny na zbadanie nieznanych, niezdobytých dotychczas szczy-



CZŁONEK WYPRAWY
PRZY PRACY W PASMIE
GÓR RAMADA



W ANDACH

tów górskich Ramady. Z Gdyni do Buenos Aires członkowie wyprawy odbyli podróż statkiem, dalej koleją, następnie samochodami w głąb lądu Ameryki Południowej. Osiągnąwszy w ten sposób wysokość 1.400 mtr.,

ekspedycja polska ruszyła dalej mułami, przeprawiając się przez rzekę Rio Blanco. Ósmego dnia jazdy mułami Polacy osiągają wysokość 4.420 mtr., tam zakładają obóz. W obozie mieszkają w namiotach, mając ze sobą potrzebny ekwipunek oraz zapas żywności na dłuższy czas. Z tego miejsca rozpoczynają się wywiady terenu i przygotowania do zdobycia szczytu Mercedario. Po dwóch tygodniach wyczerpanej pracy i zżyciu się z warunkami wysokogórskimi (konieczna dla zdrowia t. zw. aklimatyzacja) — nastąpił atak na szczyt. Atak — uwieńczony odkryciem jeszcze jednego nieznanego zakątka, o jedną białą plamę na mapie świata mniej. Szczyt Mercedario (6.800 mtr.) zdobyty! Pierwsi weszli nań Polacy dnia 18 stycznia 1934 r. Po zbadaniu pasma Ramady i zdobyciu oraz ochrzczeniu kilku mniejszych szczytów górskich (m. in. Cerro Wanda — Szczyt Wandy), ekspedycja polska zbadała lodowce tych gór, poczem przenosi się w rejon szczytu Aconcagua, na który wspina się 9 marca 1934 r.

Tego samego roku polska grupa wy-



CZŁONKOWIE WYPRAWY
POD SZCZYTEM MERCEDARIO

sokogórska odkrywa szereg szczytów w grupie Atlas (Afryka północna, Marokko), zdobywając dla nauki cenny materiał.

Ocet

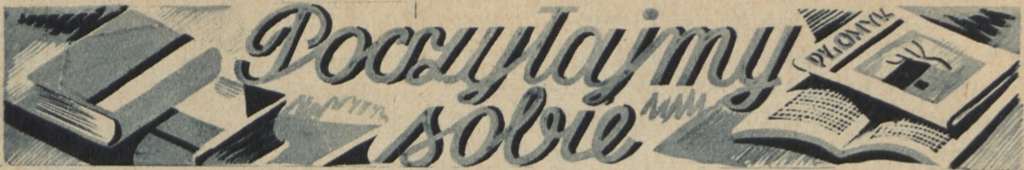


Obca nam gnuśność domowej ciszy,
nie straszny żaden trud.
W fal szumie — pieśni triumfu słyszyni,
w głębinach — życia cud!

Wicher nam śpiewa hymn o swobodzie,
słońce rozpala krew!
Ku nieznanemu i ku przygodzie
gna dalekości zew...

Naprzód i naprzód! Dalej i dalej!
Z żywiołem za panbrat —
w walce z przyrodą, w zwycięstwa szale
zdobywać chcemy świat!!

Al. Kwiecińska



Na wystawie w r. 1934: Polacy zagranicą, w kilku salach ściany były pokryte kolumnami nazwisk podróżników-Polaków, badających w różnych czasach Azję, Afrykę, Australję. Byli to uczeni, badający naturalne bogactwa obcych ziem, byli odważni poszukiwacze przygód, byli marzyciele czynu, pragnący rozszerzyć granice Polski wtedy, kiedy na mapach Europy nie było Polski. Nieśli oni imię Polski za oceany.

Weźmy np. małą książeczkę St. M. Salińskiego p. t. „Pod Banderą Syreny” (Geb. i Wolff)—jakież to ciekawe opowiadanie: Polak Rogoziński, warszawiak, płynie na wątlm żaglowcu do Afryki, by uzyskać obszary kolonizacyjne dla polskiej emigracji; na maszcie — bandera z herbem Warszawy, Syreną. Mieliliśmy Polaka króla Madagaskaru, nieustraszonego Beniowskiego, wygnańca syberyjskiego; czytajcie i o nim ciekawe historie. Kto więcej lubi czytać, może przewertować książkę B. Dyakowskiego: „Badacz dalekiej północy”, dowie się o pracy Polaków na Syberji. To wszystko prawda: byli tacy marzyciele podróżnicy, ludzie czynu, którzy sztandary swej nieistniejącej oficjalnie ojczyzny nieśli za morza — do Kamerunu, na Madagaskar, albo zatykali je na niedo-

stępnych szczytach gór australijskich (czytaj: O jednym z Polaków zagranicznych, Pawle Edmundzie Strzeleckim, Iskry, r. 1934, nr. 24 — 25).

A w dzisiejszych czasach wyprawy do krain wiecznego lodu (Dobrowolski: Wyprawy polarne; Centkiewicz: Wyspa mgieł i wichrów — obie grube książki), wyprawy samolotowe (Orliński: Moje wrażenie z lotu do Tokio; Meissner: Żwirko i Wigura; Adamowicz: Przez Atlantyki; Skarżyński: Na RWD 5 przez Atlantyki) również rozślawiają imię Polski, budują Polskę w umysłach cudzoziemców.

A iluż jest bezimiennych podchorążych, którzy nieśli imię Polski w dalekie, obce kraje i zyskiwali sympatię dla swej ojczyzny?

O tych „bezimiennych” mówią nam dzieje emigracji polskiej. Wiadomości o ich życiu możemy znaleźć w opowiadaniach osnutych na tle przeżyć Polaków zagranicznych (Umiński: Znojny chleb; Pawłowicz: Chłopiec z pinjorowych lasów; Ossendowski: Jurek w Afryce, Staś Emigrant; Ostrowski: Polscy Konkwistadorzy. Przeczytajcie też małą książeczkę Jima Pokera: Niezwykłe przygody Piotrusia Konkola (Przygody i podróże).
B. St. Kossuthówna



We wtorek, 1 października od godz. 12 m. 15 do g. 12.30 pogadanka dla młodszych dzieci p. t.: „Wędrowka wróbla” pióra p. Jana Grabowskiego.

We środę 2..X od g. 16.00 do g. 16 m. 20 fala lwowska przyniesie dzieciom starszym nowe „zagadki muzyczne”.

We czwartek, 3 października, od g. 16.00 do g. 16 m. 15 Stary Pan Doktor

opowie młodszym dzieciom śliczną historyjkę p. t.: „Cyganiątko”.

W piątek, 4 października od g. 12 m. 15 do g. 12.40 audycja dla szkół i starszych dzieci p. t.: „Na nieznanym szlaku”. Złożą się na nią: a) pogadanka p. t.: „O polskich podróżnikach”, b) „Przygoda na wyspie Niedźwiedziej”. To opowiadanie zapozna Was z prawdzi-

wą i niebezpieczną przygodą, którą przeżyła nasza ekspedycja naukowa. Wygłosi je uczestnik tej wyprawy p. inżynier Czesław Centkiewicz.

W sobotę 5.X od godz. 18.00 do g. 18 m. 30 będzie nadana komedia radiowa dla starszych dzieci i młodzieży p. t.: „Gwiazdy i dwójki” pióra J. Morawskiego. Słuchowisko to może specjalnie zainteresuje te dziewczynki, które marzą o karierze filmowej, a zaniedbują łacinę, algebrę, francuski i t. p.

W niedzielę, 6 października od g. 16

do g. 16 m. 15 ciekawa transmisja z warszawskiego Ogrodu Zoologicznego. Napewno wszystkie dzieci zasiądą przy aparatach radiowych, aby usłyszeć różne głosy egzotycznych mieszkańców Zoo. Po ogrodzie oprowadzą Was p. dyrektor J. Żabiński z panem profesorem St. Sumińskim.

I w poniedziałek, 7 października od g. 18 m. 30 do g. 18.40 będzie opowiadanie dla młodszych dzieci p. t.: „Jak się Jędrus wybrał w świat”.



— Wygwizdów, kujesz się na poprawkę z geografji?

Ale i na to czwórka nie odpowiadała. Stale, o jednej porze znikali z namiotu, a po powrocie Mietek zasiadał przy atlasie i zaczynało się to, co radomiacy nazywali „kuciem się geografji”. Naprzód zadawał pytania Mietek, potem dawał atlas Julkowi i mówił:

— Teraz ty mnie się pytaj.

Potem wszyscy rysowali na pamięć jakieś mapy w notesach i porównywali z atlasem.

Kiedys Wacek zaczął narzekać:

— E, to nie jest wcale ciekawe! To samo jest w szkole...

Mietek wstał i uchylił zasłonę namiotu:

— Możesz iść.

— No, tak. My postanowiliśmy naprawdę podróżować i będziemy się uczyć wszystkiego co potrzeba podróżnikom. I żagiel naciągać i szero-

kość obliczać i gdzie jaka wyspa, albo prąd morski... A jeśli ty nie masz dosyć ochoty, albo wytrwałości, to proszę bardzo!... W „Wygwizdowie” jest miejsce tylko dla „morowców”.

Wacek nic nie odpowiedział. Wziął ołówek i zaczął rysować w notesie Przylądek Dobrej Nadziei.

Były też inne trudności: Breloczek i Wacek nie umieli pływać, a Mietek powiedział, że nie pojedą na pierwszą samodzielną wycieczkę, dopóki wszyscy nie będą doskonale pływać. Szła więc nauka usilna i dużo musiał nasłuchać się Wacek o swojej niezdarności, nim zauważył ze zdziwieniem, że nie dotyka wcale dna, a mimo to nie tonie:

— Umiem! umiem! — wołał na całe gardło.

— No, dobrze! Czego się drzesz? — tłumaczył mu Julek. — Breloczek też płynie, a nie krzyczy jak piskorz na patelni.



— Jemu łatwo, bo on lekki! — prychnął Wacek.

— A tobie łatwo, boś tłusty! — odciął mu Julek. — Wiesz przecie, że „oliwa zawsze na wierzch wypłynie”. A oliwa, wiadomo, jest tłusta.

— Dobrze, już dobrze! Nie udawaj filozofa!

Wreszcie Mietek zdecydował, że już można wybrać się na dłuższą wycieczkę, bez starego rybaka. Otrzymali pozwolenie komendanta, który też przybył z całą drużyną na brzeg, żeby zobaczyć jak „Wygwizdów” sobie radzi.

Czwórka popisała się co się zowie: zakręcała koła i zawracała z miejsca łodzią tak sprawnie, że drużyna nie mogła powstrzymać się od okrzyków. Komendant zobaczywszy ich sprawność pozwolił im na samodzielną wycieczkę, ale kazał za dwie godziny wracać.

Wtedy żagiel wyprostował się i łódź pomknęła w otwarte morze kładąc się prawie na bok.

— Może odkryjecie Amerykę! — krzyknął któryś z radomiaków, ukrywając zazdrość.

W odpowiedzi na to z morza odezwała się bojowa pieśń Wygwizdowa: „Bum, bum, bum! — na basie...” Za chwilę łódź zniknęła z oczu zapatrzonej drużyny.

Wiatr był doskonały, więc nawet nie było zbyt trudno kierować, ale ponieważ Mietek był zmęczony manewrowaniem przed drużyną, więc kierownictwo objął Julek.

— Wzięliście plecaki? — zapytał Mietek siadając na ławeczce.

Okazało się, że wszyscy wzięli.

— To dobrze — powiedział Mietek — bo może nam wypadnie trochę dłużej zabawić... A czyj - że to taki wypchany plecak?

Wacek prychnął śmiechem:

— To Breloczka! Plecak większy niż on. Breloczek się wybrał do obozu jak na biegun północny. Ciekawym, co on tam ma?

Ale Breloczek nie poddawał się:

— Same najkonieczniejsze rzeczy?

— No? Cóż takiego?

— Przedewszystkiem połowa apteczka, bandaże i większa butelka jodyny. Potem latarka elektryczna,

paczka zapalek, kłębek szpagatu, drut, linka, menażka, manierka, trąbka no i różne drobiazgi: kompas, szkło powiększające, kilka pudełek aluminiowych z zapasami, bielizna, lornetka...

— A roweru składanego i telegrafu kieszonkowego nie masz?

— Mam jeszcze krokomierz.

— Przypomnij sobie — radził poważnie Wacek — pewno masz jeszcze coś koniecznie potrzebnego? Na przykład maszynę do pisania, albo obozowy futerał na ognisko.

Breloczek zamyślił się i powiedział:

— Nie, ale mam filtr myśliwski.

— Co, co? Może wodociąg?... — pytał Wacek. Ale tym razem zainteresował się i Mietek:

— Co ty masz Breloczku?

— Filtr... Ja zaraz pokażę! — i Breloczek rzucił się do swego plecaka. Po chwili wyciągnął stamtąd dziwny przyrząd. Było to owalne pudełko z długą, gumową rurką.

— To się wkłada w wodę — tłumaczył z zapalem Breloczek — a to się bierze w usta... Woda może być

najbrudniejsza, bo tu się oczyszcza...

— A skądże ty masz tyle tego? — zdziwił się Wacek.

— Bo to było tak, że moja babcia przysłała na moje imienniny strasznie dużo pieniędzy i napisała do tatusia i mamusi, żeby pozwolili mi wszystko a wszystko kupić, co będę chciał... Więc ja podzieliłem wszystko na cztery części i kupiłem sobie co chciałem.

— A pocóż dzieliłeś na cztery części? — pytał jeszcze Wacek.

— E, tam!...

— No, no przyznaj się co tam zmajstrowałeś?

— Jedną część wydałem na prezenty, jedną dałem na naszą drużynę zuchów, jedną dałem tatusiowi, żeby mi zaoszczędził w kasie, a jedną wydałem...

— Chodź - no tu, Breloczku! — powiedział Mietek i kiedy Breloczek stanął przed nim, Mietek patrzył na niego długo, a potem objął go razem z filtrem myśliwskim i poklepał po plecach, aż Breloczkowi łzy w oczach stanęły.

— Druhowie — powiedział Mie-



tek — Breloczek jest „morowiec”, zrozumiano? Breloczek od tej pory mówi do reszty Wygwizdowa na „ty”.

Naraz Julek krzyknął przeraźliwie i jednocześnie ktoś zaczął smagać całe towarzystwo grubą liną. Lina świeża była w powietrzu i biła po głowach, rękach, plecach, a zarazem łódka zaczęła skakać nierówno, chwiać się i pochylać jak pijana. Morze zahuczało groźnie, jakby oburzone na niezdarnych marynarzy.

— Co to? Co się stało? — wyjąkał wreszcie Wacek ze spodu łodzi.

— Sznur puściłem... Wyrwał się... O, niechże cię! — odpowiedział Julek.

Żagiel furkotał nad nimi we wszystkie strony i wymachiwał sznurem jak ogonem. Wszyscy rzucili się do łapania go, ale ten wywijał się tak sprytnie, jakby był żywą istotą. Bił ich po wyciągniętych rękach, po głowach i twarzach, a wymykał się dłoniom. W pewnej chwili łódź wstrzą-

snęła się gwałtownie i cały Wygwizdów znalazł się na dnie. Nad nimi coś zatrzeszczało złowieszczo.

— Maszt! — jęknął Mietek.

Rozległ się trzask jeszcze silniejszy i łódź uspokoiła się nieco.

Julek zerwał się pierwszy, rzucił do steru i w chwili, kiedy nowa, potężna fala miała uderzyć łódź z boku, skierował się prostopadle ku niej. To uratowało i łódkę i Wygwizdów.

— Pokrwawiony jesteś! — zawołał naraz Wacek, patrząc na twarz Julka.

— To z nosa. Ale dobrze mi tak! To moja wina wszystko: zamyśliłem się i...

Mietek kazał się Breloczkowi trzymać nasady masztu, Wackowi polecił obmyć Julka, a sam objął ster.

— Trudno, stało się! — powiedział. — Ale to jeszcze nic strasznego. Damy sobie radę, tylko trzeba zimnej krwi i karności.

Łódź wznosiła się teraz gwałtow-



nie w powietrze i opadała spowrotem, jakby miała się zapaść, ale nie wydawało się to już chłopcom takie przyjemne, jak wtedy ze starym rybakiem.

— Maszt i żagiel musimy odkupić staremu Koczmarze — powiedział naraz Mietek.

— To ty myślisz... ty myślisz — zająknął się Wacek — że my jeszcze wrócimy?

— A no, co niby mamy robić? Musimy wrócić.

— Ale jak? Przecież żagiel...

— Cóż z tego? Przyływ nas przyniesie bliżej brzegu i spotkamy jaką łódź, albo statek. A jak nie, to zrobimy maszt z ławeczek, a żagiel z plecaków i ubrań.

— Mruczuś, przebaczysz mi? — jęknął Julek.

— Co za głupstwa! Nie czas na czułości. Patrzcie lepiej czy nie widać gdzie łodzi.

Cała trójka odwróciła się w stronę morza i wytężyła oczy, ale nic nie było widać, oprócz nieba i wody. Łódź skakała ciągle, a zdawało się, że stoi w miejscu.

— Dobra nasza! — zawołał naraz Mietek. — Widzę brzeg!

— Gdzie, gdzie? — rzucili się do niego.

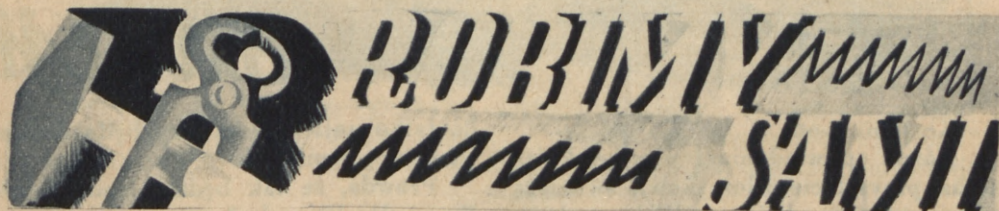
— O, tam!

— Tam?... Nic nie widać...

— Macie widać nietęgi wzrok. Widać napewno.

C. d. n.

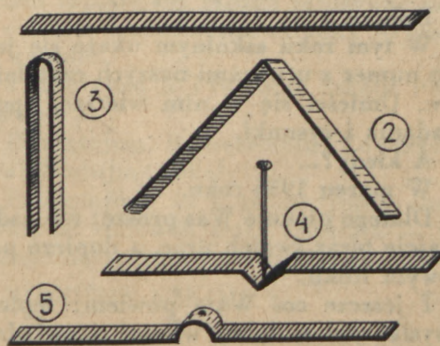
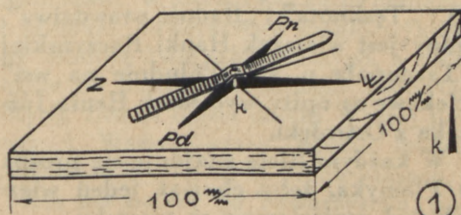
Jerzy Ostrowski

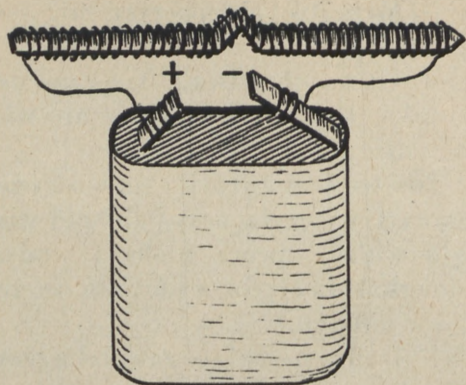


K O M P A S

Kompas, który możecie sami wykonać, składa się z kwadratowej deseczki grub. 8 — 10 m/m, z igły magnetycznej zrobionej ze starej sprężyny od budzika i kolca (k) białego na środku deseczki (może być igła od gramofonu). Na deseczce wyrysowana jest róża stron świata.

Najważniejsza część to igła magnetyczna. Należy wpierw kawałek sprężyny długości 8 — 10 cm równo wyprostować (rys. 1). Na rys. 2 i 3 widzimy sprężynę zagiętą łukowato albo pod kątem. Ażeby łatwiej można sprężynę zagiąć, należy ją w środku „odpuścić”, t. j. zmiękczyć przez nagrzanie nad płomykiem albo przyłożenie kawałka żelaza rozgrzanego do czerwoności. Na rys. 4





i 5 widać gotowe igły magnetyczne. Ażeby igła nie spadała z kolca, należy gwoź-

dziem lub innym ostrem narzędziem wybić z odwrotnej strony mały dołeczek (rys. 4). Po ułożeniu igły na kolcu należy ją wyważyć t. j. ramię cięższe zerzeć na tarczy szmerglowej lub na toczaku.

Magnesujemy igłę przez pocieranie jednego ramienia o jeden z biegunów magnesu (około 20 razy). Inny sposób magnesowania przy pomocy prądu podajemy na rysunku. Na igłę nawijamy drut izolowany 0,3 m/m grubości i oba końce włączamy do biegunów baterijki kieszonkowej.

Ign. Huber



Kochani moi.

Różne opowiadania i wiersze, które teraz przysyłacie Płomykowi, świadczą o tem, że nie próżnowaliście podczas lata.

Przeczytałem prace L. Bergerówny p. t.: „Tęsknota” i „Radość prawdziwa”. Ładny jest wierszyk Hanki Raczyńskiej z Tarnopola p. t.: „Południe na wsi” i ciekawe są opisy wycieczek Henia Józwiaka z Ostrołęki.

W każdym liście znajduje się prośba do Płomyka, żeby chociaż jeden wierszyk był umieszczony w piśmie.

Dobrze.

W tym roku szkolnym ukaże się jeden numer z utworami naszych czytelników. Umieści się w nim wiersze, opowiadania i rysunki.

A kiedy?...

W marcu 1936 roku.

Dlatego pięknie Was proszę: nie nadysyłajcie teraz swoich prac, a dopiero po Nowym Roku.

I jeszcze coś Wam powiem: lepiej przysłać jeden dobry wiersz, opowiadanie lub ilustrację, niż kilka a słabych,

bo tylko najlepsze utwory będą drukowane w piśmie.

Prawda, że tak będzie lepiej i dla Was i dla Płomyka?...

Oprócz prac czytelników dostałem także listy i fotografie. Tych ostatnich nie mogę umieszczać w Gazetce, bo często są bardzo słabe lub powtarzają uroczystość o jednakowej treści. Wszystkie zdjęcia chowam do albumu, który jest w redakcji do obejrzenia. Znalazły się w nim również fotografie przysłane przez dzieci szkolne z Wierzbnika i Jankę Jasińską z Bielszowic.

Za miłe listy dziękuję: Lali Bąkowskiej z Kańczugi, Bohdanowi Grodzkiemu z Warszawy i Zdzisłowi Oczkowiczowi z Jagodna. ZdziCHA zdał egzamin do klasy I gimnazjum w Łukowie i pierwszy raz wyjechał z domu. Trochę mu smutno u obcych i napewno ucieszy się bardzo, jeżeli dostanie list od rówieśnika. Kto z czytelników Płomyka napisze do ZdziCHA pod adresem: Jagodne, poczta Leopoldów, Zdzisław Oczkowicz?...

Wszystkim czytelniczkom i czytelnikom śle pozdrowienia Płomyk.

TYDZIEŃ SZKOŁY Powszechnej



SZKOŁA W KIERNOZI, BUDOWANA Z FUNDUSZÓW T. P. B. P. S. P.

Rok temu i dwa lata temu nawoływaliśmy w „Płomyku”: Tydzień Szkoły Powszechnej. I teraz na jesieni znowu wołamy: — Uwaga! Uwaga! Tydzień Szkoły Powszechnej! od 2-go do 8-go października. W tym tygodniu wszyscy będą mówić i myśleć o Waszej szkole, o szkole powszechnej.

W miastach na ulicach zobaczycie barwne plakaty, w tramwajach i na wystawach sklepowych chorągiewki z napisem: Budujmy szkoły! na oknach nalepki, przy paltach i płaszcach znaczki metalowe i papierowe, w kinach napisy i filmy, mówiące o szkole powszechnej, w radio usłyszymy wezwania, w szkołach zobaczymy może przezrocza.

Wszyscy zresztą zobaczymy te znaczki i nalepki, gdyż Towarzystwo Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych, które organizuje ten Tydzień, rozesłało już 2 miliony 250 tysięcy chorągiewek, półtora miliona nalepek, 3 miliony znaczków...

Wszędzie widzimy napisy: Budujmy szkoły! Potrzebne są szkoły powszechne! Daj grosz na budowę szkoły!

Wszyscy myślą o Waszych szkołach! Trzeba, abyście Wy również pomyśleli o Waszej szkole i o tych kolegach z innych szkół, którzy może nie mają tak

ładnego gmachu szkolnego, jak Wy. Przypomnijcie sobie o Waszych Kółkach Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych: jak funkcjonuje to Kółko? czy wszyscy należą? czy składki są regularnie wpłacane? A może właśnie Wasza szkoła potrzebuje pomocy?

Wasze grosze w połączeniu ze składkami społeczeństwa pomagają do budowania szkół. W roku 1934 za te uzbierane groszaki Towarzystwo mogło wykończyć budowę 1404 izb szkolnych, a dało wogóle na budowę szkół koło 3.000.000 złotych. Ileż to dzieci dzięki Waszej pomocy i Waszej pracy będzie mogło uczyć się w widnych, ciepłych klasach.

Kto nie należy do Towarzystwa, powinien zapisać się. Można zapisywać się na członka-uczestnika ze składką 50 groszy rocznie.

Pamiętajcie o Tygodniu Szkoły Powszechnej!

Pamiętajcie o wezwaniu Towarzystwa: Budujmy szkoły!

Pamiętajmy, że z groszy rosną złotówki, ze złotówek setki i tysiące — i ostatecznie z groszy powstaną szkoły!

BUDUJMY SZKOŁY!

B. St. Kossuthówna

Czy wiesz?

Zęglarze włoscy i hiszpańscy już w wiekach średnich umieli sporządzać bardzo dokładne mapy morskie przy pomocy kompasu.

Pierwszy polski podręcznik geografji napisał Laurentius Cervinus, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 1496. Jak wszystkie ówczesne książki był pisany w języku łacińskim.

W wydanem w 1512 roku dziele profesora Wszechnicy krakowskiej, Jana Stobniczki, były już uwzględnione wielkie odkrycia geograficzne zarówno w tekście jak i w załączonych mapach.

Pierwszą mapę Polski, malowaną na płótnie, sporządzono w 1421 roku celem przedłożenia jej przez delegację polską papieżowi, który był rozjemcą w sporze między Polską a Krzyżakami.

Pierwsze drukowane mapy Polski wydano w Polsce w 1528 r. Ułożył je Bernard Wapowski a wydał drukarz krakowski, Unglar.

Afrykańska wyprawa geograficzna Stefana Rogozińskiego, Klemensa Tomczaka i Leopolda Janikowskiego w 1883 roku dotarła około 250 km w głąb lądu wzdłuż rzeki Mungo. Odkryła ona wodospady tej rzeki, jezioro Słoniowe (Mbu) i góry Rumba. Wyprawa nadała polskie nazwy różnym nowoodkrytym wodom i górom. Niemcy, którzy później zajęli ten obszar, urządzając tu swą kolonję Kamerun, te polskie nazwy doszczętnie usunęli.

W roku 1856 położono pierwszy kabel podmorski przez Ocean Atlantycki.

Pierwszej podróży dokoła świata dokonano w 1521 roku. Pierwsza podróż dokoła świata pod polską banderą, po-

dróż „Daru Pomorza” została ukończona w r. 1935.

Z Europy do Ameryki podróżowano w 1847 roku z szybkością 8 kilometrów na godzinę — 30 dni. W 1857 roku z szybkością 15 km/godz. 15 dni. W 1887 roku z szybkością 25 km/godz. 10 dni. W 1929 roku z szybkością 50 km/godz. 5 dni. Sterowiec odbędzie tę podróż z szybkością 100 km/godz. w 2¹/₂ dniach. Samolot z szybkością 150 km/godz. w 1¹/₂ dnia.

W 1830 roku można było w 100 godzinach przebyć przestrzeń 500 km. W 1930 roku w tym samym czasie stu godzin, można było dostać się do jakiegokolwiek miejsca na ziemi odległego o 5000 km od punktu rozpoczęcia podróży.

Przed stu laty na drewnianej dreźnie, poprzednicze roweru, jechano z szybkością 9 km/godz. Współczesny rower „robi” 45 km/godz.

W jednej godzinie przebywają przestrzeń: obładowany wóz ciężarowy 3,5 km; człowiek wolnym spacerowym krokiem 4 km; wojsko w marszu 5 km; zaprząg konny 9 km; tramwaj 14 km; jeździec na koniu 15 km; rowerzysta 20 — 30 km; autobus 30 km; biegacz długodystansowy na zawodach 36 km; łyżwiarz 39 km; taksówka 40 km; okręt pasażerski 43 km; gołąb pocztowy 50 km; wielki okręt transatlantycki 52 km; pociąg osobowy 60 km; narciarz 80 km; pociąg pospieszny 90 km; orzeł 110 km; luxtorpeda 120 km; balon sterowy 130 km; elektryczna lokomotywa do pociągów pospiesznych 150 km; jaskółka 165 km; ślizgowa łódź motorowa 200 km; motocykl w zawodach na torze 240 km; auto wyścigowe 482; samolot do 500 km (rekord 700 km/godz.).

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



ZADANIE

Podane nazwiska podpisać we właściwej kolejności jedno pod drugim, tak, aby biorąc z każdego nazwiska po jednej literze odczytać zgóry nadół nazwę części świata.

Nazwiska: Magellan, Andersen, Hudson, Post, Tasman, Vespucci.

SZARADA 1.

Pierwsza oznacza szybki chód możliwy dla nas tylko wprzód.
Druga jest łatwą, krótką treścią: i „zdun” i „tabun” całą mieszczą.
Całość na mapie odnajdziemy na obu krańcach naszej ziemi.

SZARADA 2.

Pierwsza — całości równe pół, to jest przy drodze długi dół.
Drugą masz, gdy w wyrazie „nikt” znak „t” niespodziewanie znikł.
Całość na środku ziemi naszej narysowana cienkim pasem.

ZAGADKA 1.

Co to za ptak, co nie usiądzie ani na ziemi, ni na lądzie, a tylko wolno, to znów prędkiej chmury przed sobą pędzi?

ZAGADKA 2.

Na jakiej trąbie grać nie można?

ZAGADKA 3.

Jakie zwierzę na wiele lat przed człowiekiem zdobyło oba bieguny?

ZAGADKA 4.

Dlaczego Australia jest większa, niż Austria?

ZAGADKA 5.

Gdzie pieprz rośnie?

ZAGADKA 6.

Nie jest to kot,
a jednak w nocy
widać mu tylko oczy.

GDZIE MIESZKAJĄ?

ALA JASTUR

JAN GNADLER

PANNA ERYKA CÓLMO

ANNA EWIGOW

ROZWIĄZANIA Z Nr. 4-ego.

Rebus: słońce oświeca naszą kulę.
Zagadka 1 — ryba, 2 — księżyc; wizytówki: astronom, geograf, historyk, podróżnik; szarada 1 — wrzesień; 2 — jałowiec; szarada literowa — potop.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1. (wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny — Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK. Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa



GÓRA LODOWA